

### **Bohaterowie czasów :<gdy odwaga kosztowała>**

*Uznałem za stosowne zamieszczenie tekstu o Stefana Dzierżka – niezwykłego człowieka, który był najbliższym Przyjacielem o. Józefa Majkowskiego. Stefan Dzieżek po maturze, którą zdał u jezuitów Pińsku (podobnie jak nieco później Józiek), wyjechał do Paryża studiować filozofię, a następnie, w 1937 roku rozpoczął studia na kierunku fizyka Uniwersytetu Wileńskiego im Stefana Batorego. Gdy wybuchła wojna Stefan Dzierżek zgłosił się do wojska – jako ochotnik. Był w 261 kompanii sanitarnej. Po klęsce (zastała go w okolicach Lwowa) wrócił do Wilna, do Kolegium Jezuitów. Tam działał w tajnej organizacji Armii Krajowej. Hitlerowcy aresztowali go, na ulicy – razem z Józkiem – w marcu 1942 roku. Przetrwiał więzienie i obóz dla internowanych (choć przed aresztowaniem nie zdążył zniszczyć dowodów na konspirowanie. I tu rzecz dziwna, śledztwa w jego sprawie Niemcy nie rozpoczęli!).*

*To było zdarzenie, którego on sam nie mógł pojąć – dlaczego tak? Uznał, że ...< Bóg koniecznie chciał z niego zrobić księdza>.*

*Po rozwiązaniu obozu internowania wrócił do Wilna; jego przyjaciel o. Józef, wrócił z internowania w Szawlach. 3 października 1944 roku, w Kaplicy Ostrobramskiej, ks. Stefan otrzymał święcenia kapłańskie. Jeszcze przez chwilę Przyjaciele pracowali znowu razem, w Wilnie. Po wojnie, w 1946 roku, otrzymał polecenie powrotu z Wilna do Polski (o. Józef wrócił na jesieni 1945r – do Warszawy); O. Stefan został m.in. przełożonym nowicjatu, a równolegle miał inne obowiązki. W 1961 roku został prowincjałem jezuitów, pełnił też inne funkcje do czasu aż nakazano mu powrót do Kalisza. Jak pisano: „wrósł w Kalisz” tak jak „wrósł w Wilno”. W czasach swojej pracy w Kaliszu tzw. „bezpieka komunistyczna” uprzykrzała mu codzienność, ale to był <twardy Człowiek>.*

*W Kaliszu przebywał najdłużej, aż do śmierci, zmarł 3 sierpnia 2005 roku – żył 92 lata, a swego przyjaciela – Józka – przeżył o 18 lat).*

*Stefan i Józek zetknęli się, pierwszy raz, w seminarium w Kaliszu, obaj z mazowieckich stron: Stefan z ziemi łowickiej, Józef – spod Przasnysza; maturę obaj zdawali w Pińsku (Stefan nieco wcześniej. Po latach studiów spotkali się w Kolegium Jezuitskim w Wilnie – na drodze do święceń kapłańskich. To w czasach wileńskich, które stały się także dla obydwu kleryków mitręgo czasu wojny i walki, w jakże specjalnym wymiarze; obaj bowiem działali w tajnej-dziewięcioosobowej strukturze AK– Komórce Legalizacji. Kleryk Stefan Dzierżek – był w Kadrze tej Komórki, a struktura podlegała bezpośrednio szefowi Sztabu Komendy Okręgu. Legalizacja miała dwie podstawowe placówki: techniczną – kryptonim „Kuźnia”; biurową: kryptonim „Gospoda”; o. Stefan miał w „Kuźni” funkcję fotografa (w Kuźni były pracownie: graficzna, fotograficzna, cynkograficzna, warsztat wulkanizacyjny pieczęci i drukarnia). Kierownikiem Legalizacji był Stanisław Kiałka –osobowość o nadzwyczajnych zdolnościach organizacyjnych i technicznych, który kierownictwo przejął od ks. Kazimierza Kucharskiego.*

*Pewnie było tak, że Stefan Dzierżek uznał, że jego przyjaciel – Józef nadaje się, jak mało kto, do roboty konspiracyjnej. Jeden z najważniejszych pracowników Legalizacji –Romuald Warakomski (absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Wilnie, który był współzałożycielem komórki o kryptonimie „Kuźnia” – gdzie sporządzano dokumenty ratując w ten sposób*

ok. 80 tys. Polaków zagrożonych więzieniem, zsyłką na Sybir lub śmiercią) opisał fakty przeżyć tamtego czasu, do 1947r, w książce pt.: <Wileńskie dramaty, w czasie wojny i w PRL. (Wydanie II, z 1976r- po uzupełnieniach autora oraz wprowadzeniem dr Piotra Niwińskiego –pracownika naukowego IPN O/ w Gdańsku)



70 fotografia pt: Kadra Legalizacji- niektóre sylwetki (kopia z książki Romualda Warakomskiego <Wileńskie dramaty w czasie wojny w PRL> (górna część zdjęcia – od lewej: Michał Warakomski „Piotr”; ks. Stefan Dzierżek TJ; dolna część –od lewej: Romuald Warakomski „Hilary”; Stanisław Turski „Roman”

\*) ks. Stefan Dzierżek w poniższym zapisie zawarł – jak pisze <drobny fragment ciekawej historii wojennej> , w której razem ze swoimi przyjaciółmi (w tym z Józefem) przyszło mu przeżywać. Choć ks. Stefan – w poniższym zapisie wspomnień nie podaje np. – jak . trwał w tej oszronionej celi Łukiszek jego współbrat Józef, którego zżerała silna gruźlicza gorączka, to można sobie wyobrazić jak te warunki dobijały młodego - dwudziestosiedmioletniego kapłana.

Ojcowie zostali zabrani z Łukiszek 10 czerwca, a więc po trzech miesiącach gehenny we wspólnej celi; przyjaciele: Stefan i Józef Wieteska, stracili kontakt z krańcowo wyczerpanym kolegą Józefem; Józef pojechał do Pagryżuwis, a stamtąd wysłano go do klasztoru jezuitów w Szawlach – tam już był zupełnie sam ( bez znajomości języka, ale się go wyuczył i zawładnął sercami Litwinów z Szawel!).

Artykuł ks. Stefana zamieszczony został w opracowaniu pt.: <Pięćdziesiąt lat Prowincji Wielkopolsko –Mazowieckiej Towarzystwa Jezusowego (1926 -1976; sylwetki i wspomnienia, pod redakcją: ks. Felicjana Paluszkiwicza SJ. (więcej o historii o. Stefana można przeczytać: [https://www.google.com/url?q=http://mtrojnar.rzeszow.opoka.org.pl/ksieza\\_niezlomni/stefan\\_dzierzek/&sa=U&ved=0ahUKEWjt6PWB\\_ufVAhUiCpoKHU39CiIQFggHMAE&client=interna-l-uds-cse&usg=AFQjCNHDKr7ynPoRyaPL\\_MWkvSSGw7XkYw](https://www.google.com/url?q=http://mtrojnar.rzeszow.opoka.org.pl/ksieza_niezlomni/stefan_dzierzek/&sa=U&ved=0ahUKEWjt6PWB_ufVAhUiCpoKHU39CiIQFggHMAE&client=interna-l-uds-cse&usg=AFQjCNHDKr7ynPoRyaPL_MWkvSSGw7XkYw)

Miałem honor bycia przedstawionym o. Stefanowi; zapamiętałem go jako łagodnego człowieka o niezwykle silnej osobowości. ( Janusz Majkowski)

ks. Stefan Dzierżek SJ

## Z WOJENNEJ HISTORII KOLEGIUM WILEŃSKIEGO

!942 roku, dnia 26 marca, w którym Kościół obchodzi święto Dobrego Łotra, zostało aresztowanych w Kolegium Wileńskim przez gestapowców niemieckich i litewskich 9 ojców, 6 kleryków, 5 braci, 2 nowicjuszów i 1 chłopiec pomagający w kuchni.

Odbyło się to aresztowanie w ramach szerszej akcji skierowanej przeciw wszystkim zakonom męskim i żeńskim na terenie Wilna. Niemcy doszli do przekonania, że klasztory są ostoją dla polskiego społeczeństwa zarówno przez swą działalność religijną, jak i patriotyczną. I na chlubę ówczesnych placówek zakonnych trzeba przyznać, że rozeznanie mieli trafne.

Akcja była zaplanowana, chyba nie przypadkowo, na święto Zwiastowania 25 marca. Pomieształ szyki jeden nieprzewidziany wojenny epizod, 24 wieczorem, o godz.21:05 nadleciały sowieckie samoloty zrzucając bomby kruszące. Trzy z nich padły blisko kolegium: dwie na plac gimnastyczny, jedna na jezdnię zaułka Kazimierzowskiego. Od tej strony poleciały w domu i zakrystii wszystkie szyby, powyrywało tu i ówdzie okna z ramami, powystawiało niektóre drzwi na korytarz. Ofiar w ludziach na szczęście nie było. Niektórzy z nas doznali tylko lżejszych czy cięższych obrażeń.

Na drugi dzień Niemcy musieli zająć się usuwaniem skutków bombardowania, stąd zwłoka w naszym aresztowaniu.

26 marca rano wybrałem się z o. Majkowskim do sióstr urszulanek szarych na Skopówkę ze Mszą św.; on jako celebrans, ja jako ministrant, gdyż byłem jeszcze klerykiem. Po Mszy św. śniadanie i już o. Majkowski popędza, by się spieszyć do domu. Zawsze był łakomy na czas. Zresztą poprzedniego dnia wieczorem o. rektor Władysław Wantuchowski zapowiedział od rana porządkowanie domu po nalocie. Pełniłem wtedy funkcję su ministra, więc musiałem pokierować robotą. Wracamy zaułkiem Augustiańskim, wchodzimy na kazimierzowski, skąd wtedy było wejście do kolegium. Przy leju po wczorajszej bombie stoi jakiś Niemiec w mundurze. Nie wydało się nam to podejrzane, bo Niemcy interesowali się śladami bombardowań. Mijamy go, dochodzimy do furty. Dzwonimy, dobijamy się : nikt nie otwiera. Próbujemy przez wyrwę w murze i ogródek dostać się drzwiami obok Sali teatralnej. Zamknięte. Wracamy do furty, robimy raban. Wtem –zamarliśmy z wrażenia. Na drewnianych schodach, które ponad sklepioną bramą łączyły kolegium z tzw. <zaułkiem akademickim> słyszymy stukot ciężkich podkutych butów i , co gorsza, szwargot niemieckiej mowy. Zrobiło się nam gorąco. Próbujemy wycofać się pośpiesznie w stronę ulicy Wielkiej. Ale i Niemcy dosłyszeli nasze dobijanie się. Jeden z gestapowców wychyla się przez otwarte okno nad bramą i do Niemca, który oglądał przedtem lej po bombie woła, by nas zatrzymał. Słyszymy za plecami: <Halt! Halt!>. Udajemy, że to nie do nas. Niemiec jednak dogania nas tuż za zakrętem, akurat w tym miejscu, gdzie stała więzienne ciężarówka. Rewolwerem wskazuje nam, że mamy wchodzić do <budy>. Rozumiemy, że to nie żarty. Gramolimy się i już między nami, a tymi poza budą, zapada bariera. Przeszliśmy próg dzielący dwa światy: my aresztowani i oni, ludzie na wolności. Brezent z tyłu wozu jeszcze nie spuszczonej; również do

przodu widok otwarty. Obserwujemy więc, co się dzieje na Kazimierzowskim zaułku. Za chwilę od przodu tą samą drogą, którą myśmy przyszli, idzie jakiś batiuszka z brodą. Gdy był całkiem blisko budy, dojrzał nas w środku. Zawahał się, stanął. Podchodzi doń Niemiec z rewolwerem i każe włączyć do nas. Tłumaczy się batiuszka, że on z cerkwi Św. Ducha. Nie pomaga. Podaję u rękę, wciągamy do wozu, uspokajam, że to nieporozumienie, że tu chodzi o jezuitów, że w więzieniu wylegitymują go i wypuszczą. Niezadługo z drugiej strony, od ulicy Wielkiej dwu cywilów prowadzi jakąś kobietę.

-To całkiem dziwne, myślę sobie. Ale i tej pomagam wsiąść.

- A pani tu czego? –pytam.

- A bo proszę księdza, ja usłyszałam, że mają ojców aresztować, więc pobiegłam przez kościół do zakrystii, tam spotkałam dwóch ludzi i mówię: niech panowie powiedzą ojcom, że zaraz przyjdą Niemcy ich aresztować. A oni mnie łap za kołnierz, i przyprowadzili tutaj.

Za jakieś pół godziny przybiegają dobrze nam znane, ubrane po świecku siostry misjonarki św. Rodziny. Proszą Niemca, żeby pozwolił nam coś podać. Odmawia, więc tylko łzami okazują nam współczucie. Przypomniała mi się żywo VIII stacja drogi Krzyżowej. Uśmiechem próbujemy osłodzić im to tragiczne pożegnanie, może na zawsze *jedną z tych siostr była Wanda Łakowicz – s. Aloiza – to on, jakimś sposobem, spowodowała dostarczenie (na wieś) listu rodzicom o. Józefa, z informacją o śmiertelnej chorobie ich syna; list dotarł w maju 1942r – [przyp. Janusz M].*

Cały czas sobie pytanie: co w kolegium? Kto aresztowany, kto zdołał uciec? Chyba po godzinie przychodzi do wozu gestapowiec i każe pierwszemu Niemcowi podjechać pod furtę. Otwierają się drzwi, wysypuje się z nich cała gromada naszych współbraci. Prócz o. Modzelewskiego nie brakuje nikogo. Niosą ze sobą małe zawiniątka i trochę żywności, trochę ciepłego ubrania.

Znów pomagam wszystkim wsiadać. Najpierw bratu nowicjuszowi Eustachemu Fierkowi (*Młody rzeźbiarz, figura Matki Bożej w ogrodzie na Rakowieckiej to jego dzieło*). Potrzebował bardzo tej pomocy. Przed pół rokiem miał amputację nogi na wysokość kolana i poruszał się z trudem o kulach. Potem Ida inni. Na końcu wsiadło dwóch gestapowców Litwinów. Spuścili z tyłu brezent i ruszamy. Patrzymy przez szpary, dokąd? Na Łukiszki. Zgrzyta zasuwą, Otwiera się więzienna brama. Jesteśmy na miejscu. Wysiadać!

Zeskoczyłem pierwszy. Stałem z boku. Obserwuję skaczących z wozu młodszych, gramolących się niezgrabnie starszych. Czuję wszystko zapamiętać, utrwalić jak na fotograficznej kliszy. Podobne zajęcie znalazł sobie młody gestapowiec, lat niewiele ponad dwadzieścia. Dzieli nas ledwie kilka kroków. Nasze przeżycia w tej chwili są na pewno bardzo różne. Dobrze widzę jego młodą twarz, na którą wypełził złośliwy ironiczny uśmiech pogardy i zadowolenia. Z pewnością uczono go, że klechy w ogóle to klasa pasożytów, która musi zniknąć, a cóż dopiero klechy polskie. Nie spuszczałem zeń oka. Czekam, czy w pewnym momencie ten uśmiech nie zamrze mu nagle na twarzy? Już dziewiętnastu wysypało się z wozu. Wysiada dwudziesty. Nie odchodzi na bok jak inni. Ktoś z wozu podaje mu białe kije – tak, to kule brat Fierka. A potem on sam, kaleka bez nogi łąduje zniesiony na rękach swoich współbraci. Bierze kule pod pachy, pokuśtykał do gromady. W oczach gestapowca najpierw zaniepokojenie: cóż to takiego? Potem zdziwienie, potem twarz zakrzepła, zwiesił głowę... Co

czuł, co myślał? Może mu się przypomnieli koledzy w szpitalu skaczący na jednej nodze, bo drugą zostawili na froncie. Może zadumał się nad tym, że nawet taki kaleka stanowi zagrożenie dla wielkiej Rzeszy. Może po prostu wstyd mu było za siebie, za innych...Może ...?

Nas wtłoczono do przejściowej niewielkiej celi, chyba rozmównicy przy głównym hallu. Czekamy na rejestrację...W pewnym momencie otwierają się drzwi i staje w nich uśmiechnięty, zadowolony, że tarfił do swoich, o. Modzelewski. Na głowie ma jakiś twardy kapelusz, zwany Francji chapeau ecclesiastique. Padają pytania: co się z ojcem działo, gdzie się podziewał, skąd się tu wziął?

- Ano, <panie święty> , gdy Niemcy wpadli do naszego kościoła, ja siedziałem w konfesjonale pod chórem. Nie zauważyli mnie. Podchodzi do mnie jakaś kobieta i mówi mi: niech ojciec ucieka, bo przyszli was aresztować. Tak ja wyszedłem, obszedłem dwa razy ratusz i myślę co robić? Najlepiej pójść do karmelitów. Więc poszedłem tam i siadłem do konfesjonatu. Ale tam Niemcy przyszli, więc i mnie znaleźli. Nie powiem, grzeczni byli. Kucharz miał przygotowany obiad: pozwolili nam zjeść, sami nie chcieli. Postny obiad, bez mięsa, ale całkiem dobry.

- A skąd ojciec ma ten denciak na głowie?

- Karmelici mi dali, bo byłem w birecie

Już nie pamiętam, jak się odbyła nasza immatrykulacja na to <wyższe studium życia wewnętrznego>. Wiem tylko, że po paru godzinach wyprowadzili nas z naszego boksu na korytarz, gdzie stała w szeregu gromada sióstr nazaretanek, a potem przez podwórza, klatki schodowe, korytarze odstawili do celi, gdzie mieliśmy prowadzić życie tak bardzo wspólnotowe i tak ubogie jak nigdy dotąd.

Moją uwagę zaraz po przejściu progu celi przykuły do siebie ściany. W skąpym świetle dwu niewielkich okien umieszczonych wysoko pod powałą świeciły jakoś dziwnie, błyszcząco, iskrzyły jakby pokryte szronem, czy lodem. Nie, to niemożliwe! Dotknąłem ręką, by odpędzić złudzenie. Niestety okazało się rzeczywistością. Ta część więzienia –skrzydło, czy może cały pawilon –była przez zimę nieczynna, z powodu awarii centralnego ogrzewania. My mieliśmy być pierwszymi lokatorami po zimie. Co prawda szła już wiosna. Ale wtedy w Wilnie wojenne zimy, ku rozpaczy Niemców na froncie wschodnim, wlokły się w nieskończoność i były bardzo surowe. Jeszcze po naszym aresztowaniu mrozy nocami dochodziły do 15° C.

Najgorsza była pierwsza noc. Nie mieliśmy jeszcze sienników, nie było więc sensu spuszczać żelaznych prycz w liczbie osiemnastu zamontowanych przy ścianach. Skupiliśmy się na środku celi przy długim stole: starsi na zydlach i ławach, młodszy na stojąco, byle jak najdalej od zmrożonych ścian. Oczywiście nie dało się ustać całą noc bez ruchu, bo i sen morzył i nogi omdlewały. Więc raz po raz rozpoczynałem spacer. Ale czy długo można chodzić tam i nazad, gdy ma się do dyspozycji tylko skrawek celi, i gdy kilku innych usiłuje czynić to samo? Próbowałem czasem dostać się do drzwi, by się oprzeć o nie plecami i zdrzemnąć na chwilę, zanim zwiotczałe nogi ugną się pode mną.. Im bliżej rana tym częściej wstrząsały mną dreszcze. Nic dziwnego. Od śniadania nie mieliśmy ciepłej strawy w ustach. Z niecierpliwością czekałem świtu. Była to jedna z najdłuższych nocy w moim życiu.

Pozostawiła po sobie pamiątkę: zapalenie stawu kolanowego i stałe uwrażliwienie na zimno wszystkich stawów aż po palce u rąk i nóg włącznie.

Gdy dzień nastał, zrobiło nam nieco raźniej. Dostaliśmy na śniadanie trochę wrzątku. Przyjemne ciepło rozgrzało nieco zziębnięte wnętrzości, ale nie na długo. Przemrożone mury wysysały nieubłaganie ciepło naszych organizmów i uporczywe uczucie chłodu powracało. Powoli lód na ścianach zaczął topnieć, spływał na szarą więzienna polepę. Wycieraliśmy skwapliwie każda strużkę wody wykręcając ścierkę nad kibelem pamiętając, że jeżeli stopienie jednego grama lodu pochłania 80 kalorii, to wysuszenie jednego grama wody zabiera ich aż 539.

Jeszcze nie skończył a się plaga zimna. Gdy przyszła druga. Były nią – sienniki! Przydzielono je nam nazajutrz. Chyba już nie jeden rok służyły naszym poprzednikom, bo słoma w nich była starta na miątkę mierzwę. Ucieszyliśmy się: zawsze to można opuścić pryczę, wymościć je jako tako i nocą wyciągnąć kości na barłogu. Legliśmy w ubraniach, w butach, płaszczach, czapkach; Ciasno jeden przy drugim, żeby było ciepłej. Nie podejrzewaliśmy z początku nic złego. Dopiero po paru dniach niektórzy z nas zaczęli się podejrzanie drapać. Przeprowadzamy lustracje bielizny. Okazuje się, że wraz z siennikami przywędrowały niepożądane współlokatorki. Wydajemy im wojnę. Co rano odbywa się polowanie. Apdaja swoje rekordy.

\_ U mnie dziś sześćdziesiąt !

- A u mnie siedemdziesiąt !

-A ja mam osiemdziesiąt pięć na koncie.

Wyglądało na to , że wszy podjęły wyzwanie, że rodziło się ich więcej, niż my mogliśmy zniszczyć. Nastąpił pasjonujący wyścig, w którym chyba nie my byliśmy górą. Najlepszym dowodem tego było, że nasze rekordy z dnia na dzień rosły. Czy przekroczyliśmy setkę nie pamiętam. W każdym razie dość prędko oceniliśmy, że stoimy na straconej pozycji i zaalarmowaliśmy więzienną administrację. Nie spieszono się z odsieczą, więc jeszcze przez jakieś dwa tygodnie żarło nas uparte robactwo. Wreszcie zabrano nas z całym ruchomym dobytkiem, tzn. wszystkimi ciuchami do łaźni. Ciuchy poszły do pieca dezynfekcyjnego, my pod prysznic, a celę specjalna ekipa zmyła gruntownie karbolem, czy innym świństwem. Śmierdziało przez kilka dni jak cho...,ale woleliśmy to, niż niekończącą się walkę z wszami.

Najjaśniejszym punktem naszej więziennej doli była zakonspirowana Msza św., którą niedługo po aresztowaniu mogliśmy zorganizować dzięki temu, że jedna młoda, sympatyczna dozorczytni nie bała się przemycać nam wino i komunianty. (Jeśli jeszcze żyje, niech jej Pan Jezus da zdrowie i pogodną starość, a jeśli zmarła, dodatkową radość w niebie).

Po wstaniu i umyciu się nad jedną miednicą, przywdziewaliśmy suknie – zostawili nam Niemcy ten znak zakonnej przynależności – i stawali murem od strony drzwi, żeby ktoś niepowołany zaglądając przez <judasza> nie zorientował się , co się w celi dzieje. Na więziennym stole rozkładaliśmy zamiast korporauła czystą białą chusteczkę, stawiali na niej niewielką szklanę, nakrywali świętym obrazkiem, kładli na talerzyku komunianty podzielone na ćwiartki, bo nie wiadomo, kiedy otrzymamy następne, i rozpoczynała się

Eucharystyczna Ofiara. Cóż to było za przeżycie ! Nie będę go opisywał: nie potrafię. Powiem tylko tyle: dla jednej takiej Mszy świętej warto było przeżyć siedem miesięcy w więzieniu.

Bo tyle trwał nasz przymusowy pobyt na Łukiszkach, przynajmniej jeśli chodzi o braci i kleryków<sup>1</sup>). Ojcowie wyszli wcześniej: 10 czerwca. Zabrali ich do swego domu w Pagryžuvis oo. Jezuitów litewscy, jako internowanych. Za nas widocznie bali się odpowiadać przed Niemcami. Kiedy powstaną dwa specjalne obozy dla księży i zakonników, dołączą do nas i ojcowie z Pagryžuvis, ale dopiero wiosną 1943r. nas wzięto do obozu wcześniej. Pierwsza partia z naszej celi – 4 braci – wyjechał w połowie października. Skierowano ich do Szaftupi, około 30km na południe od Kowna. Resztę, tzn. 7 kleryków (z nowicjuszem J. Charytańskim i br. Franciszkiem Mielnikiem) zabrano z Łukiszek ostatniego października. Przez Kowno dotarliśmy po południu do Poniewieżyka; około 30 km na północ od Kowna. W tych obozach, niedaleko od stolicy Litwy mieliśmy doczekać przyjscia wojsk radzieckich w lipcu 1944 roku.

Nie były to oczywiście obozy zagłady. Daleko im było do grozy Dachau, Oświęcimia, Majdanka. Nie chodziło o wykończenie nas, a jedynie o wyizolowanie ze społeczeństwa, udaremnienie jakichkolwiek wpływów i działalności. Stąd i obóz nasz nosił oficjalną nazwę : <Internierungslager>.

Jak przebiegało w nim życie, niech opowie autentyczny dokument: mój list pisany z Poniewieżyka do Ówczesnego prowincjała o. Emila Życzkowskiego, z dnia 21.3.1943 roku.

*Drogi Ojcze! Wojna rozproszyła po świecie Twą liczną rodzinę, tak, że niewielka tylko jej część żyje blisko Ciebie. Większość Twych dzieci, choć na wygnaniu, myśli jednak stale o Tobie i o sobie nawzajem, czekając z utęsknieniem tej chwili, kiedy P. Bóg zabierze nas znowu do pracy w winnicy swojej. Jak Wy tam w Warszawie interesujecie się naszym losem i troszczycie się o naszą przyszłość, tak i my przeżywamy żywo Wasze radości i smutki. Troską napawają nas wieści, jakie od Was dochodzą i to zarówno smutne jak i pomyślne. Smucimy się również, gdy otrzymujemy wiadomości, że nasi koledzy nawet młodszy wyprzedzili nas do ołtarza Pańskiego, a my tracimy czas przy kurach, krowach, nawozie ....*

*Mimo wszystko jednak nie ulegamy pesymizmowi, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. I nasza niedola ma swe dobre strony.*

*Pociesza nas wprzód to, że mamy udział w tych cierpieniach, jakie dziś dla wspólnej sprawy ponoszą miliony. Zdajemy sobie również sprawę, że pobyt nasz tutaj nie jest znowu taki bezowocny. Poznajemy życie i to z dwu bardzo odmiennych stron. Gdyby nie więzienie na Łukiszkach i nie obecny obóz, nie zdobylibyśmy takie wiary w Bożą Opatrzność i ludzką dobroć. Naprawdę ludzie, nieraz ledwo znajomi, okazują nam tyle poświęcenia, że trudno pojąć, skąd na to zdobyć się potrafią. Takie przykłady zapisują się w sercu na całe życie. Gdy się nad tym zastanawiamy, dochodzimy do wniosku, że Bóg po to dopuścił na nas tę próbę, by dać ludziom okazję czynienia dobrze. Staliśmy się symbolem wspólnej sprawy, wspólnych cierpień. Staliśmy się sztandarem, z lichej może materii, ale na którym złotymi zgłoskami wpisane jest wielkie imię Boga.*

*Poznajemy i odwrotną stronę medalu. Zebrał nas tu los z rozmaitych środowisk, rozmaitych zgromadzeń. Nic więc dziwnego, że mogą być pewne nieporozumienia, sprzeczne tendencje.*

*Zresztą w biedzie i nieszczęściach jaskrawiej występują ułomności ludzkie. W doświadczeniach pokazuje się, czym kto jest. Chcielibyśmy być złotem najczystszy; ale nawet złoto w ogniu próby wyrzuca na powierzchnię brudy i domieszki; błyszczący, cenny metal kryje się w głębi.*

*Donosił nam Stach, że spragnieni jesteście wiadomości szczegółowych o nas. Postaram się więc choć w części zadowolić Wasze apetyty. W ogóle czujemy się zdrowo, w szczególności również nikt nie choruje. Zdarzają się czasem jakieś niedomagania, ale to nic groźnego. Nawet nasz senior br. Fr. Mielnik trzyma się krzepko, ogłuchła tylko mocno. Jest tu nas w lagrze 30 osób (profesorzy z seminarium 5, franciszkanie 5, misjonarze 5, karmelici 5, bonifratrzy 2, bernardyn 1, nas 7). W innych grupach przeważają kapłani. Tylko u nas jest 6 kleryków i jeden brat. Było nas z początku 8, ale około Trzech Króli ks. Maciejowski wyjechał do drugiego obozu, gdzie są nasi bracia i wschodniacy. Komendantem jest Litwin. Cel jest podwójny: izolowanie nas od społeczeństwa i praca dla wielkich Niemiec. Toteż regulamin idzie w tych dwu kierunkach. Nie wolno nam nawiązywać kontaktu z obcymi ludźmi, nie wolno z nimi rozmawiać, nie wolno od nich nic przyjmować jak tylko za pośrednictwem komendanta, nie wolno wydać się poza obóz. Z gośćmi przyjeżdżającymi w odwiedziny wolno się widzieć tylko w obecności komendanta. Wszelkie uchybienia w tym względzie będą uważane za ucieczkę, za którą grozi rozstrzelanie i tym, co uciekli, i tym, co zostali w myśl zasady zbiorowej odpowiedzialności: jeden za wszystkich wszyscy za jednego. Praca trwa obecnie od 7 rano do 5 wieczorem, z półtoragodzinną przerwą na obiad. Pracować obowiązani są wszyscy. Wyżywienie zależy od pracy, a że roboty zimowe w gospodarstwie są nieproduktywne, więc też nasze normy żywnościowe są strasznie chude. Zresztą trzeba zauważyć, że nasz majątek, gdyśmy tu przybyli, był okropnie zaniedbany. Po prostu ruina. Na szczęście przyszli nam z pomocą zacni ludzie i z Wilna i z okolicy, bo wokoło wszędzie ludność polska. Praktyki religijne są dozwolone jedynie na terenie obozu. Mamy oboźną kapliczkę, w niej cztery ołtarze, właściwie stoliki, przy których odprawiają się codziennie Msze św. Śpiewać można tylko w kaplicy i to wyłącznie pieśni religijne. Rzeczywistość niewiele od tego odbiega.*

*Zejdę teraz do konkretnych szczegółów. Oto jak np. wyglądały moje dotychczasowe zajęcia. Od przyjazdu tzn. od Wszystkich Świętych do Trzech Króli praca w drwalni; do Matki Bożej z Lourdes rabanie lasu, potem przez tydzień wyrzucanie gnoju od wszystkich <żywiółów>. Obecnie jestem zatrudniony w ogrodzie. Takie same zajęcia miał J Charytański, gdyż prawie stale pracowaliśmy razem. Niektórzy z nas mają stałe zajęcia. I tak br. Mielnik piecze chleb i prowadzi kuchnię, ks. Kot dogląda krów, Michaś prowadzi gospodarstwo kurze, ks. Kałkowski zaawansował na ogrodnika, ks. Wieteska był przez pewien czas majstrem, tzn. gdy trzeba było coś sklecić, naprawić, szukał po całym gospodarstwie desek, wyciągał stare gwoździe, których wiecznie było brak. Obecnie przerzucił się na ogrodową branżę. Norm pracy nie ma żadnych. Doglądają nas, żebyśmy nie próżnowali, a my staramy się nie przepracować.*

*Poza tym trzymamy się wszyscy dobrze. Żyjemy nadzieją i marzymy o lepszym jutrze. Oczekujemy wolności. Myślimy często o naszych kolegach: i tych, co więcej cierpią od nas, a jest ich wielu, i tych, których los był nieco łaskawszy. Pozdrawiamy ich wszystkich serdecznie.*



*Nie zdziwcie się, że tak mało dajemy znaków życia. Korespondencja oficjalna jest niemożliwa. Wolno nam pisać raz na dwa miesiące. Oczywiście, że dopuszczalne są tylko frazesy bez treści. Gdyby chociaż te listy dochodziły normalnie, ale gdzie tam. Pisałem dwa razy do Wilna: jeden list doszedł po dwu miesiącach, drugi po 4 i pół miesiąca w drodze. Pisałem dwa razy do rodziny; dotychczas nie doszło. Z początku wolno nam było pisać raz na miesiąc; obecnie podobno poczta przeciążona. Pozostaje więc jedynie droga prywatna, ale ta zawsze jest ryzykowna, więc trzeba się ograniczać. Zresztą po wojnie (może niedługo się skończy) zagadamy się z Wami do woli; na razie zazdrościmy tego Staszкови i czekamy.*

*Polecamy się modlitwom Drogiego Ojca i innych znajomych, do zobaczenia.*

Tę garść wspomnień rzuciłem na papier, jako drobny fragment chyba i ciekawej historii wojennej wileńskiego kolegium. Może sprowokują one tych, którzy jeszcze pamiętają wydarzenia owych dni, do chwycenia za pióro i uwiecznienia swoich przeżyć, by ich nie pokrył pył zapomnienia. Colligite fragmenta Ne pereant ! (Zbierzcie pozostałe ułamki, aby nic nie zginęło" (J6.12) { przyp. –Janusz M}

-----XXXX-----